

A ważną częścią każdej kultury jest kult przodków i religijne rytuały pogrzebowe. Dlatego wciąż na nowo musimy się określać wobec śmierci i zmarłych.

ADAM KRZEMIŃSKI

W Mexico City w czasie Dni Zmarłych kościotrupy wychodzą na ulice. Na wystawach piekarń i cukierni szkieleciki, trupie czaszki i trumienki z czekolady lub marcepanu. W sklepach z meblami całe rodziny dorodnych kościotrupów: przy stole mąż z gazetą, pod stołem pies i kot, w bawialni – dzieci, a w kuchni – szkielet żony w fartuchu. Na wystawie sklepu samochodowego – szkielet w sportowej koszuli i ciemnych okularach, obok kościotrup w mini i szpilkach. W księgarni – zatopiony w lekturze, w butiku – cała ich galeria: we frakach, piżamach, marynarskich ubrankach.

Meksykańskie Días de los Muertos trwają bez mała tydzień i – podobnie jak słowiańskie Dziady – łączą przedchrześcijański rytuał z chrześcijańską oprawą. Nasze Dziady nie są tak upiorne – w meksykańskiej paradzie kościotrupów są ślady zarówno renesansowego Tańca Śmierci hiszpańskich konkwistadorów, jak i krwawych azteckich rytuałów. Ale w obu przypadkach chodzi o to samo, o chwilowy powrót zmarłych między żywych.

U nas drogę ku nam – i powrót w zaświaty – miały im utworzać nagrobne światła. W Meksyku żółte i białe kwiaty oraz małe ołtarze z zapalonymi świeczkami, jedzeniem, słodyczami, a także perfumami i mydełkami. Ci, którzy stamtąd przychodzą, powinni móc się odświeżyć i z nami posilić. Nie inaczej bywa na wiejskich cmentarzach prawosławnych, gdy na Zaduszki chadza się na groby z jedzeniem i pićm.

Według antropologów człowieka od zwierzęcia różni świadomość, że jest śmiertelny. A ważnym elementem każdej kultury jest kult przodków i religijne rytuały pogrzebowe. Można z nich wyczytać lęk i fascynację śmiercią. Kult cieni zmarłych, przebywających w zaświatach, i kult ciała zmarłego: od spożycia jego zwłok, jak przez plemię Kurarów z Nowej Gwinei, aby wcielił się w żywych; poprzez mumifikację zwłok w starożytnym Egipcie jako powłoki niezbędnej dla wędrówki duszy; aż po przypisywanie zmarłemu, a także relikwiom po nim, cudownej siły leczniczej – np. krwi rzymskich gladiatorów, średniowiecznych skazańców czy świętych Kościoła.

Do czasów nowożytnych, pisał w „Historii śmierci” Philippe Aries, śmierć była oswojona jako część życia – miała też wyraźną postać greckich Park, przecinających nić życia, albo naszej barokowej kostuchy. Jednak mimo spoufalenia ze śmiercią starożytni bali się bliskości zwłok i trzymali je z dala od siebie. Cztili groby, ale świat żywych miał być oddzielony od świata umarłych.

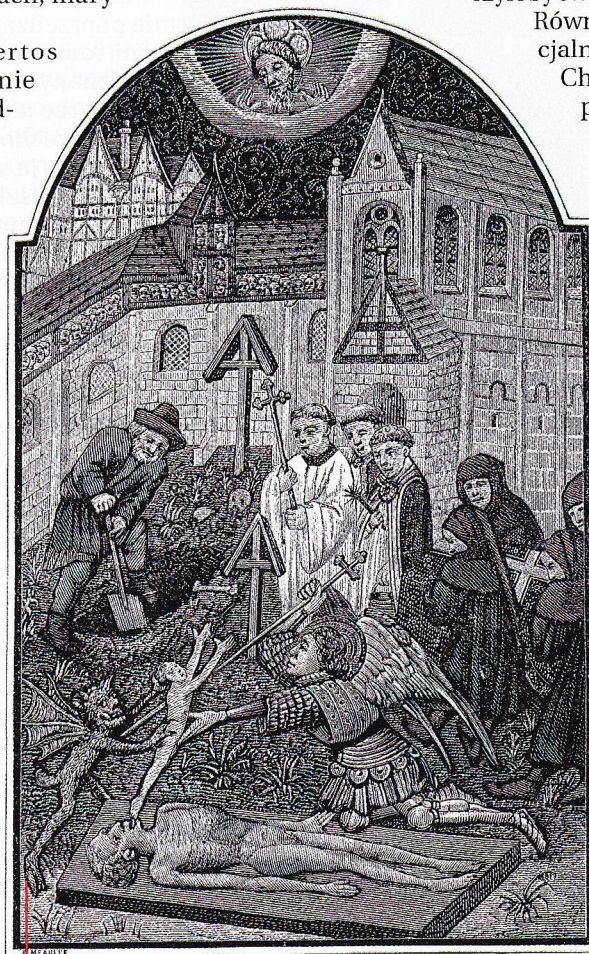
Słowo *funus* znaczyło nie tylko zwłoki, ale także zabójstwo, a *funestus* – nieczysty – był ten, kto miał kontakt ze zwłokami. W Rzymie cmentarze lokowano wzdłuż dróg poza miastem, jak przy Via Appia. Grobowce opatrywano epitafiami. Ale obowiązywał zakaz pochówku *in urbe* – w mieście, bo to naruszyłoby świętość (*sanctitas*) domostw ludzi żywych.

Również wcześnie chrześcijanie nie mieli specjalnej atencji dla zwłok. Z wyjątkiem ciała Chrystusa, którego cielesne wniebowstąpienie (podobnie jak wniebowzięcie Marii) traktowano jako dowód Jego boskości. Niemniej, powtarza z naciskiem Aries, św. Jan Złotousty wzdragał się przed zwłokami nie mniej niż poganie i przestrzegał przed przetrzymywaniem ich w domach. Dopiero od V w. n.e. uwierzono, że groby męczenników strzegą żyjących przed grzechem, a zmarłych przed piekłem. Najpierw obudowano je bazylikami, a potem wielopiętrowymi sarkofagami *ad sanctos*, przy świętych.

W VI w. zmarli weszli do miast. Najznamienitszych chowano w katedrach, mniej ważnych – w kościołach. Gdy miasta się rozrosły, zanikła granica między kościołem a cmentarzem. Klasyczny kościół parafialny zaczął się składać z nawy, dzwonnicy i cmentarza.

Mimo to same zwłoki nie budziły atencji. W XV w. paryski Cmentarz Niewiniątek składał się z wielkich dołów, do których wrzucano ciała. Gdy się dół wypełnił, przysypywano go ziemią, odsłaniając zarazem któryś z poprzednich i przenosząc z niego kości do jednego z ossuariów – ogromnych kostnic, dokąd zresztą z czasem przenoszono także z kościołów resztki zapomnianych już notabli.

Cmentarz był miejscem publicznym, handlarze handlowali przy otwartych masowych grobach, kuglarze pokazywali swoje sztuczki, prostytutki oferowały swe wdzięki, a pisarze i adwokaci – usługi prawne. W XVII w. „widok zmarłych, których kości wyzierały z cmentarnej ziemi, tak jak czaszka znaleziona przez Hamleta, robił na żywych wrażenie nie większe niż myśl o własnej śmierci” – twierdzi Aries.



Cmentarz Niewiniątek w Paryżu. Symboliczna scena walki o duszę pomiędzy diabłem a aniołem. Drzeworyt z XV w.

► **Ludzie przyjmowali śmierć jako obowiązującą wszystkich prawo natury, nieuchronne przeznaczenie, i nie próbowali ani przed nią uciekać, ani jej uwznioślać.** Do XII w. ani śmierć, ani Sąd Ostateczny nie są indywidualne. Dobrzy – bo ochrzczeni – zmartwychwstaną i wejdą do raju, a źli pozostaną w grobach. W renesansie sprawa się komplikuje, każdy ma być oceniony według jego rachunku uczynków złych i dobrych. To początek biografii indywidualnej.

Równocześnie moment sądu przesuwają się, ma miejsce w chwili śmierci, a nawet przed nią, przy łożu umierającego. Na drzeworytach z XVI w., prezentujących „sztukę umierania” (*ars moriendi*), umierający leży w łóżku otoczony rodziną i przyjaciółmi. Za nimi z jednej strony Trójca Święta i Matka Boska, a z drugiej szatan z własnym zastępem. Często to właśnie



Barbara Domicela ze Szczawińskich.
Portret trumienny z 1676 r.

on triumfalnie trzyma księgę, w której zapisane są wszystkie grzechy. Bóg nie jest sędzią, raczej rozjemcą czy adwokatem grzesznika... Umierający jakby obojętnie przygląda się temu pojedynkowi, choć to o niego chodzi. Jeśli będzie żałował swych grzechów, to uratuje duszę, jeśli będzie wychwalał swe dobre uczynki lub żałował traconych właśnie dóbr i przyjemności, będzie skazany.

Teraz wierzą, że umierający w momencie śmierci niczym w kinie ogląda całe swe życie i sam wydaje wyrok na siebie. Biografia indywidualna uzyskuje sankcję religijną. Teologowie protestancy zwalczali jednak pogląd, że wystarczy „dobrze umrzeć”, by zmasać swoje złe uczynki.

A co ze zwłokami? W sztuce XIV–XVI w., dowodzi Aries, widok wyschłego lub rozkładającego się trupa jest dość rzadki. Pojawia się natomiast w wizerunkach tańca śmierci, a w Niemczech i wschodniej Francji w obrazach trupów toczonych przez robactwo. W XVII w. kościotrupy pojawiają się na grobowcach, a także w wystroju wnętrz domów mieszkalnych.

Makabryczne motywy – czaszki i piszczele – stają się symbolem nie tylko rozkładających się zwłok, ale także umierających starców. *Memento mori*, pamiętaj o śmierci, zgnilizna to nie tylko stan *post mortem*, ale także *intra vitam* – za życia. Rozkład ciała nie jest już symbolem śmierci, lecz nieuchronnego umierania...

„Podobnym do szkieletu, mam już tylko kości bez czucia i bez mięśni, bez skóry, bez ciała... Me ciało dąży tam, gdzie wszystko się rozkłada” – pisał w XVI w. Ronsard. Śmierć to nie tyle przeznaczenie, ile nieuchronna klęska człowieka, który za życia jest „zmarłym w zawieszeniu”.

Mimo to śmierć pozostaje aktem publicznym. W wyidealizowanej formie poprzedza ją pożegnanie z najbliższymi, towarzyszącymi broni, rodziną. Sam umierający reżyseruje je zgodnie z powszechnie znanym ceremoniałem.

W XVIII w. lekarze uskarżali się na tłok w izbie umierającego. W XX w. przechodnie widząc wiatyk jeszcze włączali się do konduktu. Ja sam pamiętam, jak w 1950 r. we wrocławskim przedszkolu wychowawczynie zaprowadziła nas, pięcioletków, do mieszkania zmarłej koleżanki. Woskowa, ubrana na biało, leżała w otwartej trumnie. To był nasz pierwszy trup.

Śmierć była oswojona. Tak jest przedstawiana do dziś w krajach, w których nie dokonała się rewolucja urbanistyczna. A jednak już w czasach renesansu formuła „wszyscy umrzemy” zaczęła się zmieniać w formułę „to ja umrę”. W średniowieczu ikonografia Sądu Ostatecznego знаła tylko jedną Księgę Życia, w której zapisani byli wszyscy ludzie, którzy zmartwychwstali po końcu świata. Od renesansu każdy sam staje przed ostatecznym trybunałem, z własnym kajecikiem w ręku – rejestrem grzechów jako dowodem tożsamości.

Śmierć indywidualna staje się bardziej dramatyczna, ale początkowo nadal nie budzi przerażenia. Testament dokumentuje moralny i materialny dorobek umierającego. A datki na rzecz Kościoła są polisą ubezpieczeniową na zbawienie w zaświatach. Gwarantują godne miejsce pochówku na ziemi, zamianę dóbr doczesnych w walutę wieczną i miejsce w raju u stóp Boga Ojca w czasie anielskiego koncertu. Stopniowo na płytach nagrobnych pojawiają się dane o wieku zmarłego i indywidualizowane rzeźby, a w sarmackiej Polsce – portret trumienny.

Wielkie łąpięcie w kulcie zmarłych Philipp Aries wyznacza na rok 1800, pod wpływem oświecenia, rewolucji francuskiej i wojen napoleońskich. W sztuce europejskiej wizerunek martwego ciała pojawia się już w średniowiecznej sztuce sakralnej. Jednak od renesansu zaczynają się nimi interesować anatomicznie, sam Leonardo wykłada zwłoki wisielców, by wypreparować i dokładnie narysować ich ścięgna.

Fascynacja zwłokami promieniuje makabryczną erotyką tańca śmierci, a teologiczne nauki o przemijalności i nicości życia na ziemi – *vanitas* – pozwalają artystom zanurzyć swój świat w słodko-gorzkim zapachu śmierci i melancholijnym wizerunku Przemijania. Zwłoki stają się obiektem pożądania, a śmierć – ten paroksyzm autentyczności wśród marności tego świata – budzi dreszcz rozkoszy.

Artystyczna nekrofilia łączy śmierć z seksem. Eros i Thanatos odbijają się orgiastycznym grymasem na twarzy storturowanej św. Agaty czy ekstatycznym uśmiechem św. Sebastiana, w którego pięknym ciele tkwią liczne strzały. Ta „pornografia śmierci” pojawia się w sztuce europejskiej na długo przed fantazmatami Markiza de Sade. Wciąż jednak nie narusza równowagi między *sacrum* i *profanum*. Dopiero w XIX w. ulegnie ona zachwianiu.

Z jednej strony śmierć zostanie znacjonalizowana, poległy prosty żołnierz stanie się bohaterem narodowym na równi z oficerem. Od wojen napoleońskich każda gmina we Francji, a od 1813 r. także w Prusach i Niemczech południowych ma obowiązek w kościele parafialnym upamiętnić nazwiska wszystkich poległych. Ten zwyczaj utrzyma się tak długo, jak długo będzie obowiązkowa służba wojskowa. Dzisiaj został zaniechany: pamięć poległych w interwencjach NATO leży w gestii władz centralnych, a nie parafii...

Z drugiej strony od XIX w. śmierć coraz bardziej „dziczeje”, stając się „skandalem przyrody” w zracjonalizowanym łańdże świata tworzonego przez człowieka. Filozofia i teologia, które od Sokratesa, poprzez Augustyna, po Kanta znajdowały równowagę między życiem i śmiercią, w ciągu ostatnich dwustu lat wpadają w kłopot filozofii egzystencji Kierkegaarda, Nietzschego, Heideggera czy Sartre’a. Równocześnie medycyna i prawo coraz bardziej zacierają granice śmierci, aż do wyparcia jej przez proces umierania coraz bardziej rozszczępiony na wyłączanie funkcji poszczególnych organów.

Romantyzm narzuca estetykę „pięknej śmierci”, choćby jako zespolenia z narodem czy niezniszczalną przyrodą. Skąd niedaleko już do spirytyzmu i salonowych rozmów z duchami przy krążącym talerzyku. To w XIX w. powstała znana nam do dziś kultura cmentarna nekropolii jako parków narodowej pamięci lub lokalnych cmentarzy jako miejsca prywatnych wspomnień. Niekiedy – jak w Lizbonie – grobowce rodzinne przypominają kolejowe kuszetki. Małe przedziały, po cztery trumny z każdej strony (w szczelinach tych najstarszych trumien widać śmiertelne buty nieboszczyka), z przodu oszklone drzwi, z tyłu okienko, stolik ze sztucznymi kwiatami i krzesło... Na tym przystanku choć na chwilę znowu jesteśmy razem...

Ten model cmentarza w różnych wariantach – u nas trumny są wkopywane do ziemi, we Włoszech wsuwane do piętrowych minikatakumb przypominających szafy-chłodnie – w Europie dominuje do dziś. Nawet jeśli wileńska Rossa, lwowski Łyczaków czy warszawskie Powązki są starsze, to narodowymi nekropoliami tak naprawdę stały się dopiero pod koniec XIX w. I to nie dlatego, że poza cmentarzami Polski nie było, tylko dlatego, że w całej Europie nastąpiła nacjonalizacja śmierci.

Jeszcze w 1780 r. likwidacja paryskiego Cmentarza Niewiniątek i przewiezienie do miejskich katakumb zgromadzonych tam przez wieki kości nie wywołały najmniejszego zainteresowania. Ale już w roku 1800 plan założenia nowych grobów masowych uznano za skandal.

Śmierć ma być piękna, ale zarazem jest coraz bardziej traktowana wstydliwie i skrycie, tak samo jak seks w czasach wiktoriańskich. Coraz częściej umiera się samotnie, w szpitalu. Z ulic stopniowo znikają czarne karawany z widoczną trumną. Coraz częstsza jest kremacja zwłok. A prochy rozsypuje się w prywatnej ceremonii nad morzem, w górach, w lesie...

Coraz rzadziej też chodzi się na cmentarz. Unika mów żałobnych, a dziś na klepsydrach rodziny dodają: „Prosimy o nieskładanie wizyt i nieskładanie kwiatów”. Śmierć zostaje wypchnięta z codziennego życia. Na Zachodzie pogrzeb poza prominentnymi wypadkami – jak księżnej Diany czy Jana Pawła II – przestaje być wydarzeniem publicznym i społecznym. A żałoba rzadko polega na rodzinnych modlitwach, częściej na terapeutycznym przepracowaniu depresji wywołanej śmiercią kogoś bliskiego.



„Taniec śmierci”, obraz nieznanego autora z XVI w.

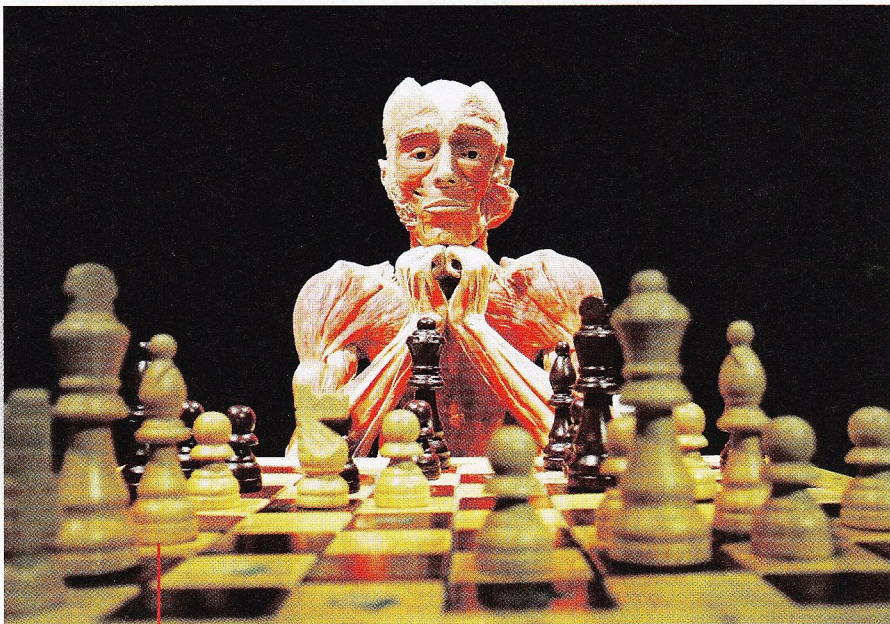
W wieku XX śmierć jest kłopotem. Z jednej strony zadawana anonimowo w fabrykach śmierci, w obozach pracy, w masowych bombardowaniach stała się wielkością statystyczną – cóż bowiem kojarzyć z informacją, że w Chinach w czasie rewolucji kulturalnej poniosło śmierć kilkadziesiąt milionów ludzi? To tylko liczba. W kijowskiej Bykowni jest 2 tys. płyt z nazwiskami pomordowanych polskich oficerów i kilkadziesiąt płyt z nazwiskami pogrzebanych tam obywateli radzieckich, ale obejmują tylko ofiary z nazwiskami zaczynającymi się na cztery pierwsze litery alfabetu, dla reszty pozostawiono kilka symbolicznych pustych tablic. Ofiary nadal są anonimowe. W pamięci ma zostać liczba: 60–100 tys. ofiar.

umierającemu przystawiał do ust lusterko, słuchał, czy oddycha, patrzył, czy jego źrenice reagują na światło, a stopa na ukłucie – i stwierdzał śmierć. Dla pewności, że to nie letarg, czekano aż ciało zeszywnieje i pojawią się pierwsze plamy rozkładu.

Dziś kryteria śmierci są umowne. Według tzw. kryteriów harwardzkich znakiem śmierci klinicznej – również w sensie prawnym – jest ustanie funkcji mózgu wskazane przez encefalograf. Jednak współczesna technika pozwala nadal – nawet latami – utrzymać resztę ciała „przy życiu”, może ono oddychać, goją mu się rany, zdarza się erekcja. Więcej: ten pulsujący „żywy trup” może donosić ciężę, a jego zdrowe organy, od nerek i wątroby po serce, mogą być życiodajne dla kogoś śmiertelnie chorego, komu zostaną wszczepione.

Na poparcie tezy, jak dalece zaciera się granica między życiem i śmiercią włoski filozof Giorgio Agamben przytacza przykład amerykańskiej dziewczynki Karen Ann Quinlan, która przez kilka lat leżała w komie, gdy rodzice zgodzili się odłączyć ją od aparatury, zaczęła sama oddychać i nadal „żyła” nieprzytomna do swej „naturalnej” śmierci kilka lat później.

Względność życia i śmierci pociąga za sobą również względność szacunku do ciała umierającego i jego zwłok. Günther von Hagens, osławiony preparator zwłok, które w najdziwniejszych pozach za pieniądze wystawia na widok publiczny, uważa się za takiego samego „renesansowego artystę anatomii”, jakim był Leonardo da Vinci.



Jeden z ludzkich preparatów Günthera von Hagensa

W jednym z trzech jego warsztatów obróbki trupów – w chińskim Dalian – w czasie jednego z remanentów stwierdzono 647 kompletnych zwłok, 3909 części ciał jak nogi, dłonie czy penisy, 182 płody, embriony i noworodki z zapisanymi w katalogu numerami seryjnymi, wielkością, wiekiem i płcią. Niczym w warsztacie samochodowym szczegółowo opisane są braki tego ludzkiego towaru: „dziura postrzałowa w potylicy”, „złamany kark”. To zwłoki skazańców, większość z nich ma „jamę brzuszna otwartą cięciem krzyżowym” – po wyjęciu organów przydatnych do przeszczepów.

Krytykom Hagens odpowiadał, że przecież zwłoki włączone w obieg nauki jako eksponat anatomiczny stają się preparatem, a nie śmiertelnymi szczątkami konkretnego człowieka, którym należy się szczególny pietyzm. Przecież tak właśnie traktuje się

prawom rynkowym, jego opracowanie kosztuje, więc też zasadne jest organizowanie płatnych wystaw czy sprzedawanie utrwalonych w żywicy plasterów poszczególnych organów, serca, płuc, penisa. W czasie frankfurckiej wystawy jego „Światów ciał” w kościołach wezwano do modlitwy za nieznanym zmarłym...

Skoro zaciera się granica śmierci i suwerenności ciała zmarłego, pozostaje pytanie, a co z jego duszą?

Tradycyjne teologiczne czy teozoficzne odpowiedzi wielu ludziom Zachodu nie wydają się już wystarczające. By sobie poradzić z tajemnicą śmierci, sięgają do mądrości ezoterycznych, panteizmu, wędrowki dusz, reinkarnacji. Potwierdzenie, że „coś jest na rzeczy”, znajdują w relacjach ludzi, którzy przeżyli tzw. śmierć kliniczną. Ale najłatwiej w psychologii.

W 1969 r. światowym bestsellerem stały się „Rozmowy z umierającymi” amerykańskiej lekarki Elisabeth Kubler-Ross, i sformułowane przez nią pięć faz przygotowywania się na śmierć: Pierwsza to ignorowanie zbliżającej się śmierci. Druga to bunt: dlaczego akurat ja? Trzecia to „handel”: abym dożył do... Czwarta to rozpac i rezygnacja. A piąta to pogodzenie się ze śmiercią.

Ta „psychologia śmierci” wyraźnie kłóci się z dogmatyzmem teologicznym, który nakazuje poddanie się prawom natury i odmawia umierającemu prawa wybrania momentu śmierci. Spór o prawo do samobójstwa nie jest w historii zachodniej myśli nowy. Teologowie je potępiają jako grzech główny. Filozofowie się wahali. Kant targnięcie się na siebie warunkowo akceptował. Hegel i Nietzsche także. Również Heidegger i Sartre.

Ale co z tego wynika? Ano: liberalne prawo do decydowania o sobie, swoim ciele i domagania się pomocy w „godnym odejściu” ze strony lekarzy, którzy nie powinni przeciągać nieuleczalnej choroby, lecz ją na żądanie przeciąć. Trudny dylemat, również z punktu widzenia prawa, jest rozwiązywany w niektórych krajach w klinikach łagodnej śmierci, a w powszechnej praktyce przez „medycynę paliatywną” – uśmierzać cierpienie, ale już nie próbować leczyć. Choć i to z medycznego punktu widzenia trudny dylemat, ponieważ teoretycznie utrzymać „przy życiu” można pacjenta bardzo długo.

Pozostaje jeszcze pytanie o przemiany naszej „kultury śmierci”, o przywiązanie do przodków, o rzeczywistość więzi z nimi.

Na początku XXI w. profesor Maria Janion w programowych esejach „Do Europy tak, ale z naszymi umarłymi” potwierdziła żywotność naszych zbiorowych Działów jako historycznej więzi kulturowej i mentalnej. Jednak już pięć lat później w „Tej niesamowitej słowiańszczyźnie” przestrzegła przed „wampiryzmem” naszego romantycznego kultu zmarłych, przed „wampiryczną” polskością wysysającą z naszego społeczeństwa soki witalne.

Niekończące się polityczne egzekwia wokół katastrofy smoleńskiej już w 2010 r. wywołały głosy oburzenia na partyjno-polityczną „nekrofilie”. Ton obecnej haniebnej debaty wokół ekshumacji rozerwanych na kawałki ofiar katastrofy prezydenckiego samolotu zakrawa na jakiś polityczny kanibalizm.

Z perspektywy czasu wydaje się, że jedynym godnym pochówkiem ciał i szczątków smoleńskich ofiar byłby ich wspólny grobowiec, razem lecieli i razem zginęli. Jednak ze względu na partyjniactwo i polityczną megalomanię nie było to możliwe. Polska polityka wewnętrzna nie daje zmarłym spokoju. Nasze Días de los Muertos trwają już dwa lata. Tyle że my bez czci szarpiemy zwłoki nie z czekolady czy marcepanu...

ADAM KRZEMIŃSKI